

Kolory Kanady

Uroki indiańskiego lata w dziewiczej naturze Kanady i jej społeczny koloryt.



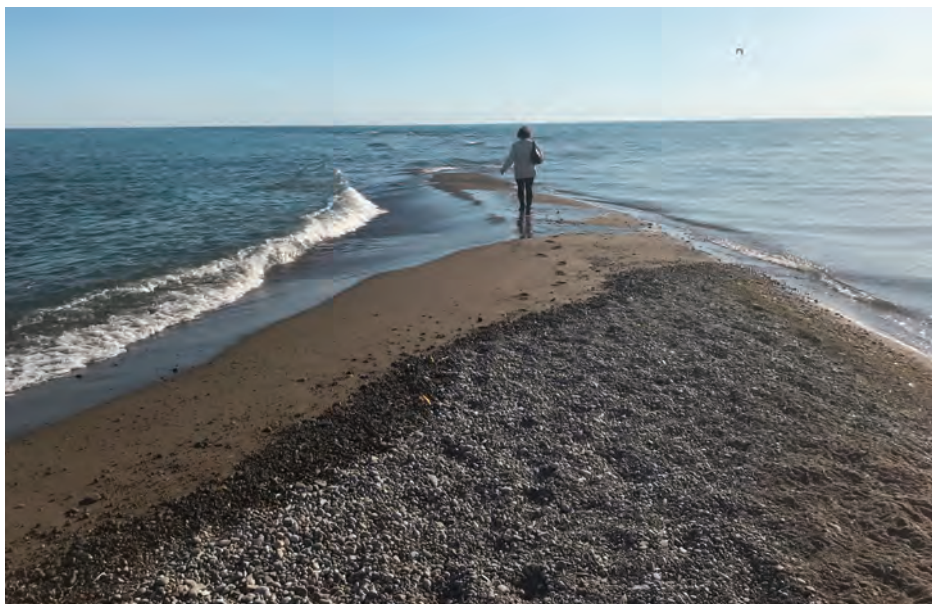
Indian summer to pora roku, w której drzewa przybierają niesamowite kolory.

Pomysł tego wyjazdu powstał w czasie spotkania z Małgosią i Romkiem Dubińskimi w Paryżu w 2018 roku. Po wielu miesiącach planowania, przygotowań i czytania przewodników wsiadłam na pokład samolotu z Paryża do Toronto. Plan podróży był już prawie gotowy. Małgosia i Romek mieli również przygotowany spis parków i innych atrakcji do zwiedzenia. I tak rozpoczęła się moja przygoda z Kanadą.

Zwiedzanie zaczynam od Tim Hortons – kanadyjskiej sieci barów szybkiej obsługi, wyspecjalizowanych w kawie i ciastkach, założonej przez hokeistę Tima Hortona. Ta sieć będzie mi towarzyszyć przez 3 tygodnie pobytu. Jej ekspansja wyeliminowała prawie całkowicie kawiarnie niezależne na rynku kanadyjskim. Zaopatrzeni w zieloną herbatę i kawę w tekturowym kubeczku z logo firmy, udajemy się na zwiedzanie Uniwersytetu Zachodniego Ontario w London, a zwłaszcza jego biblioteki, gdzie od 30 lat pracuje Romek. W bibliotece znajduje się między innymi kapsuła czasu zamknięta w 2017 roku z okazji 150-lecia Kanady, z przekazem do przyszłych pokoleń, oraz mapa świata, przy której fotografują się goście Romka. Po południu zwiedzamy pierwszy park, Medway Valley Heritage Forest na terytorium London, gdzie przy wejściu wywieszono tabliczkę przestrzegającą przed kojotami. Dzień jest słoneczny i w czasie tej dwugodzinnej przechadzki obserwujemy dziką naturę i już zmieniające się barwy drzew, które w czasie mojego trzytygodniowego pobytu będą nas zachwycać feerią kolorów – zielonym, żółtym i czerwonym w różnych odcieniach o niespotykanej wcześniej intensywności. Udało mi się trafić na *Indian summer* – odpowiednik naszego babiego lata.

Następnego dnia czeka nas dłuższa wycieczka do Windsor na granicy ze Stanami Zjednoczonymi. Pierwszy punkt wycieczki to obserwatorium astronomiczne i możliwość obejrzenia teleskopu, z którego Romek i jego koledzy obserwują gwiazdy z bezchmurnej nocy. W dalszej drodze, zgodnie z sugestią google, zatrzymujemy się na śniadanie w Tall Tales Cafe. W dość niepozornym drewnianym baraku znaj-

duje się restauracja nominowana do nagrody za najlepsze śniadanie w Ontario. Wnętrze lokalu przypomina bary z lat 80. w Polsce, ale śniadanie, jakie dostajemy, jest fantastyczne! Omlet z grzankami i smażonymi ziemniakami rozplywa się w ustach. W dalszej drodze zatrzymujemy się na brzegu jeziora Erie. Wydmy i bezkres wody, gdyż drugi brzeg jest niewidoczny, trochę przypominają Bałtyk w bezwietrzną pogodę. Krótki *checked* i jedziemy dalej do Point Pelee, najdalej wysuniętego na południe punktu Kanady. Przy wjeździe do parku narodowego kolejny nowy znak – zwojnij, żółwie i węże. A w parku miła niespodzianka – ponieważ przyjechaliśmy dość późno, nie ma już turystów. Wolnym spacerem idziemy w stronę cypla, mijając dzikie indyki na koronach drzew i obserwując fantastyczną dziką przyrodę. Point Pelee to waziatki pasek łąchy na brzegu jeziora Erie, opanowany przez dzikie indyki, które jednak odlatują, w miarę jak do nich się zbliżamy. I tak krok po kroku docieram na wysunięty najbardziej na południe punkt Kanady i znajduję się na tej samej szerokości geograficznej co północna Kalifornia. W drodze powrotnej zauważamy motyle o wdzięcznej nazwie angielskiej –



Spacerkiem ku najdalej wysuniętemu na południe punktowi Kanady. Uwaga! Lecą dzikie indyki!



Jesienne słońce potrafi rozgrzać i może nawet opalić.

Rudolf Modrzejewski wniósł wkład w rozwój budownictwa w Kanadzie.

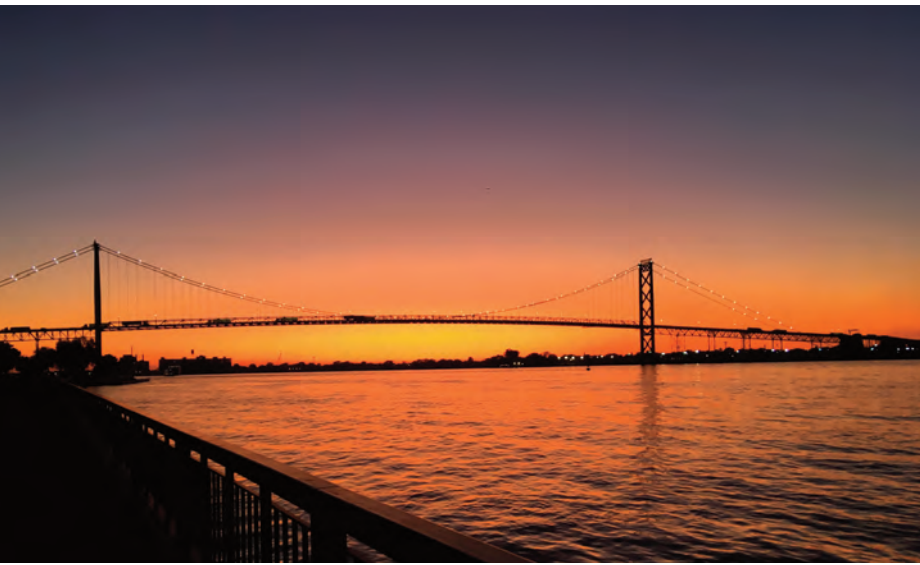
monarch – i nie mniej wdzięcznej polskiej – danaid wędrowni. Są to wędrownie motyle, których trasa migracji przebiega przez Point Pelee. Jeszcze tylko krótka przechadzka po mokradłach i możemy jechać dalej w stronę Windsor i słynnego Mostu Ambasadora pomiędzy Kanadą i Stanami Zjednoczonymi, najdłuższego wiszącego mostu łączącego dwa państwa. Most ten zaprojektował w 1929 r. syn Heleny Modrzejewskiej, budowniczy wielkich mostów – Rudolf Modrzejewski. To przez ten most przemierza się około 25 proc. wymiany handlowej między krajami i należy on do miliardera Manuela Moroun, do którego należą również sklepy wolnocłowe po obu stronach mostu. Wieczorem po przechadzce nad

brzegiem rzeki Detroit i podziwianiu panoramy drapaczy chmur w mieście Detroit, idziemy do kasyna Caesars, gdzie mi i Romkowi udaje się wygrać trochę dolarów. Z Windsor wracamy do London autostradą, podziwiając kolorowe monstrualne ciężarówki. Po drodze zajeżdżamy do skansenu Ska-Nah-Doht, gdzie możemy zobaczyć, jak mieszkali pierwsi mieszkańcy Kanady około tysiąca lat temu oraz jej pierwsi osadnicy z Europy. Przekraczając drewnianą palisadę, trafiamy do długich domów Indian i możemy tylko sobie wyobrażać, jak wyglądało codzienne życie mieszkańców tych ziem.

Następnym naszym celem jest St. Jacobs Market, gdzie produkty spożywcze sprzedają między innymi mennonicy, wyznawcy odłamu protestantyzmu, który powstał w 1539 roku w Holandii. Mennonitów wyróżniają między innymi charakterystyczne czarne kapelusze mężczyzn i specyficzne nakrycia głowy kobiet oraz powstrzymywanie się od korzystania ze zdobyczy cywilizacji. Dlatego w pobliżu St. Jacobs można zauważyć charakterystyczne znaki drogowe uprzedzające o bryczkach na drodze. Dojeżdżając do St. Jacobs, przy drodze zauważamy wystawione z ceną owoce, warzywa i kwiaty. Przejżdżający mogą wybrać to, co ich interesuje, i zostawić opłatę w kubeczku do tego przeznaczonym. Oprócz mennonitów w Kanadzie mieszkają również amisz – chrześcijańska wspólnota protestancka wywodząca się ze Szwajcarii. Amisze odseparowali się od mennonitów z powodów obyczajowych. W Kanadzie obie wspólnoty żyją obok siebie, jednak zasady amiszów są bardziej restrykcyjne. W czasie mojego pobytu w Kanadzie miałam okazję odwiedzić amiszów i bawić się z ich dziećmi, które – jak wszystkie dzieci – są ciekawe świata.

Bazar St. Jacobs wita nas mnóstwem kolorów i zapachów, jest jednak bardziej uporządkowany niż jego bliskowschodnie pierwowzory. Można tu kupić syrop klonowy w różnych postaciach (najbardziej znany jest sam syrop i ciasteczka klonowe), ale jednym z głównych miejsc z przekąskami na bazarze jest Perogie Palace – jak widać emigranci ze wschodniej Europy mocno zaznaczyli się w kanadyjskiej kuchni, która jest mieszanką dań z całego świata, tak jak i kanadyjska populacja. Chętni mogą też nabyć polską kiełbasę (polish kolbassa) za jedyne 11\$ i oczywiście ekologiczne owoce i warzywa od mennonitów.

W drodze powrotnej z St. Jacobs zajeżdżamy do Pinery Provincial Park, gdzie w końcu



zamoczę nogi w kanadyjskich wielkich jeziorach. To tu na plaży Romek z Małgosią i dziećmi piknikowali po przyjeździe do Kanady. Piaszczysta plaża, iglaste drzewa, mewy i fale bardzo przypominają bałtyckie plaże.

Niedziela to czas spędzony w rodzinnym gronie. Nas na *brunch* zaprosili Kasia – córka Małgosi i Romka – oraz Patryk, jej mąż, z córkami Mae i Daphne. Po późnym śniadaniu idziemy na spacer z dziewczynkami nad brzeg rzeki Tamizy. Jesienne kolory zaczynają nabierać intensywności. Zieleń coraz częściej zastępują: żółty, pomarańczowy i czerwony. W parku widzimy wszędobylskie gęsi kanadyjskie i drzewa powalone przez boby.

Następnego dnia wczesna pobudka, chcemy zdażyć na ostatni w tym roku rejs statku po zatoce jeziora Huron, z jej ponad tysiącem wysp. Niestety pogoda, która do tej pory była fantastyczna, zmieniła się. W czasie całego rejsu jest wietrznie i pada deszcz, co jednak nie przeszkadza nam w podziwianiu rozrzuczonych po zatoce wysepek, na większości których znajdują się domy. Do części z nich można się dostać tylko motorówką albo helikopterem. Lokalną atrakcją jest również most, który obraca się o 90 stopni, aby przepuścić płynący statek. Następnego dnia, po nocy w hotelu, jedziemy dalej do Killbear, po drodze zajeżdżając do słynnego sklepu z rybami wędzonymi, których nazw nie zapamiętałam w przeciwieństwie do smaku i zapachu. Pierwsza ryba zniknie w całości na biwaku w lesie, gdzie zatrzymamy się na chwilę. Po zasłużonym odpoczynku jedziemy dalej przez tarczę kanadyjską, która jest zbudowana z archaicznych skał krystalicznych, które uległy przeładowaniu. Przez okno samochodu, a potem w trakcie przechadzki podziwiam to, o czym uczyłam się dość niechętnie na lekcjach geografii. Pofalowane warstwy skał świetnie obrazują kształtowanie się gór. Na skałach tarczy kanadyjskiej rośnie przeważnie roślinność tundrowa, która przez cały dzień zachwyca nas swoimi kolorami.

Po skorzystaniu z uroków dzikiej natury kanadyjskiej w planie mamy dwudniowy pobyt w Toronto, gdzie zatrzymujemy się w domu Kamila – syna Małgosi i Romka. Centrum Toronto to jeden wielki plac budowy. Pomiedzy wieżowcami z początku XX w. powstają nowe, jeszcze wyższe. My jednak pierwszego dnia idziemy zwiedzać China Town, gdzie wielu mieszkańców nie zna ani francuskiego, ani angielskiego, ale za to można wprost na ulicy kupić całkowicie nieidentyfikowalne przez nas



Wodospad Niagara z bliska robi jeszcze większe wrażenie.

owoce i warzywa oraz przedmioty chińskiej medycyny ludowej. Spacerując po uliczkach tej dzielnicy oraz sąsiedniego Kensington Market i zaglądając w zaułki, na ścianach XIX wiecznych budynków dostrzegamy wielobarwne, olbrzymie graffiti autorstwa jej mieszkańców. Następnego dnia wraz z Romkiem wyruszamy na wycieczkę objazdową autobusem turystycznym, spacerujemy po ulicach centrum, zaglądając do St. Lawrence Market – uznanego za najlepszy rynek na świecie, jednak moim zdaniem niewart tej opinii. Na zakończenie dnia płyniemy statkiem na wyspy, z których można podziwiać piękną panoramę Toronto.

Najważniejszym punktem programu tej wycieczki do Kanady jest oczywiście wodospad Niagara. Od samego początku słyszałam, że ten kanadyjski jest ładniejszy od amerykańskiego. I rzeczywiście, wielkość i siła poraża najbardziej doświadczonych podróżników. Obłok pary unoszący się przy wodospadzie od strony kanadyjskiej jest widoczny z daleka, a obowiązkowa wycieczka na stateczku, który pod pływa prawie do samego wodospadu, pozwala poczuć moc spadającej wody. Chociaż wszyscy pasażerowie dostają obowiązkowe peleryny, mające przed nią chronić, woda dociera do najbardziej ukrytych części mojego ciała. Krople wody są wszędzie.

Nie byłoby oczywiście wyjazdu do Kanady bez obowiązkowej sesji szkoleniowej – jak zrobić kybiny? Na zakończenie mojego pobytu robimy więc z Romkiem kybiny, które wspólnie pałaszujemy i dzielimy się nimi z bliskimi Romka... Następnym razem trzeba będzie zrobić kołduny, które tak lubi mój kuzyn. A czy będzie następny raz, czas pokaże...

Anna Abkowicz
Fotografie autora.

Klonowe liście przybierały przeróżne odcienie.

